



SZABLON

AGNIESZKA SUDOMIR

AGNIESZKA SUDOMIR

SZABLON



[Kup książkę](#)

Mojej córce, Marii

*I czymże jest wierność,
Miłość i cnota, jeżeli ich mocy
Osamotnionej nikt nie wypróbuje?*
John Milton „Raj utracony”

*Cóż... pokonaliśmy setki groźnych chorób, które
niegdyś krzywdziły ludzkość. Nie znaleźliśmy jednak
sposobu na ten szczególny rodzaj melancholii, że tak
użyję nieco archaicznego określenia, nękający ludzi
zaraz po Przybyciu.*
dr Zukin

*Już mówiłam: jako jeden z nielicznych jesteś
całkiem zdrowy.*
Marion Forcier

Jesteś błędem Celestis. Pięknym błędem.
June Thorndike

1

– Amy... – mruknął półprzytomny.

Cholerne wiadomości. Miała wyłączyć komórkę. Kolejny raz spróbował wydobyć się z otchłani męczącego, niezdrowego snu. Z marnym skutkiem. Powieki ciążyły, a głowa odmawiała współpracy. Od tygodni nie udało mu się wypocząć. Amy chce być w kontakcie z pacjentami? W porządku, ale czy – u diabła – nie może zrobić sobie przerwy?

– Amy, kotku... – jęknął błagalnie z nadzieją, że żona uwolni go od irytującego pikania.

Nigdy nie schodziła z linii frontu, nigdy nie odpoczywała. Dopiero kiedy urodziła się Ella, Amy zrobiła wyjątek dla niedziel. Dziś telefon powinien być wyciszony. Woli zaryzykować awanturę – pomyślał ze złością. Nigdy by się nie przyznał, ale kochał ją za ten upór. Za to też. Teraz jednak chciał się wyspać, a wokół rozlegały się denerwujące, krótkie sygnały. Przez chwilę usiłował je ignorować, w końcu dał za wygraną. Z trudem uniósł powieki i boleśnie zaatakowany jaskrawym blaskiem natychmiast je zamknął. Zmęczony wzrok nie podołał fali światła. Pikanie nie

ustawało. Właśnie miał nakryć głowę poduszką, kiedy dotarło do niego, że coś jest nie tak – napływające bez ustanku wiadomości, ostra biel zamiast zwykle panującego w ich sypialni przyjaznego półmroku. Poczował silne pulsowanie w skroniach, znak, że kapryśne ciśnienie przekroczyło granice normy. Wziął głęboki oddech i gwałtownie otworzył oczy.

Chciał usiąść, lecz mięśnie nie odpowiedziały na polecenie mózgu. Co jest, do cholery?! Nieprzytomnym wzrokiem omiótł fragment pomieszczenia, jedyny, który udało mu się dostrzec. Biel sufitu, biel ścian, sączące się nie wiadomo skąd zimne światło... Nie miał pojęcia, co to za miejsce. Wciąż słyszał esemesy. Nie, to nie esemesy – uświadomił sobie. Skądś znał ten dźwięk. Ponownie spróbował wstać i znów ciało odmówiło współpracy. Z całych sił starał się zebrać myśli. Wsłuchał się w organizm: nie czuł bólu, w ogóle nic nie czuł. Strach zaczynał brać górę nad rozsądkiem. Nagle pojawiła się ulga – przecież to sen! Tylko zły sen. Wyteżył całą wolę, by się obudzić. Przed oczami Adriana wciąż malowała się biel obcego mu pomieszczenia, a w tle słychać było wyraźny, choć coraz mniej regularny sygnał. Pik, pik, pik, pik. Już wiedział, skąd go zna. Słusznie kojarzył dźwięk z Amy, ale to nie był jej telefon. Jedno piknięcie – jedno uderzenie serca. Odgłosy szpitala. Sygnał niebezpiecznie przyspieszył, myśli zaczęły się plątać. Tylko spokojnie... – nakazał sobie.

Bezskutecznie.

– Dzień dobry, panie Lawson. Jak się pan czuje? – Gdzieś z lewej strony dobiegł go ciepły, damski głos.

Nie odpowiedział. Nie był nawet pewny, czy jest w stanie mówić. Kobieta kontynuowała monotonnym, terapeutycznym tonem. Najwyraźniej nie pierwszy raz wypowiadała podobne słowa:

– Widzę, że powoli się pan budzi. Wszystko jest pod kontrolą. Jeszcze przez jakiś czas będzie pan odczuwał lekki dyskomfort. To minie.

– Dyskomfort? – wyszeptał nie bez trudu, choć całkiem wyraźnie.

– Tak, ale wkrótce nauczy się pan od nowa funkcjonować.

– Od nowa funkcjonować? – bezwiednie powtarzał słowa kobiety, której postaci nadal nie mógł dostrzec.

– To nie takie trudne. Czasem sprawia trochę kłopotów. Przejściowych – dodała szybko. – U pana powinno obyc się bez większych komplikacji. Odczyty wskazują, że wszystko jest w porządku.

– Nie mogę się ruszać... Nie czuję swojego ciała... – Najchętniej by wrzeszczał, ale brakowało mu siły.

– Panie Lawson... – Nachyliła się nad nim. Wyglądała na jakieś dwadzieścia parę lat. Wzrok przykuwały jej czarne, bystre oczy i mleczna, idealnie gładka cera. Włosy zakrywał biały czepek. – To minie. Proszę teraz odpoczywać.

– Co mi jest? Miałem jakąś operację? – Bał się, że dziewczyna wyjdzie, zanim zdoła od niej wyciągnąć informacje.

– Coś w tym rodzaju. – Nie zamierzała więcej wyjaśniać.

– Coś w tym rodzaju? To jakiś żart? – Pikanie znów ryzykownie zwiększyło tempo. – Gdzie moja żona? Jest tutaj? A Ella? – Uczucie suchości w gardle zniknęło, mógł mówić nieco głośniej.

– Panie Lawson... proszę się uspokoić. Nerwy nie są wskazane. Z pana rodziną wszystko w porządku.

– Są tutaj? – powtórzył pytanie.

– Nie. – Znów się nad nim pochyliła. Zauważył, że jest ubrana w biały, dopasowany uniform, który nie przypominał medycznego fartucha.

– Chcę natychmiast rozmawiać z lekarzem. – Miał nadzieję, że jego głos, choć wciąż słaby, zabrzmiał wystarczająco stanowczo.

– Właśnie pan rozmawia. – W ciemnych oczach zamigotał blask rozbawienia. – Proszę się nie ruszać. Oderwie pan sobie czujniki i wszystko trzeba będzie zaczynać od początku. June Thorndike, pana lekarz prowadzący – przedstawiła się.

Jeśli ta dziewczyna nie przestanie się wygłupiać, jego mózg lada chwila eksploduje ze złości!

– Z całym szacunkiem, nie mam ochoty na żarty – warknął.

– Jestem jednym z najstarszych stopniem oraz stażem pracowników kliniki. Proszę się nie martwić o moje kwalifikacje. – Poprawiła delikatną, srebrną nitkę, przyczepioną do jego ramienia, a biegnącą gdzieś poza zasięg wzroku. – Podałam panu środek nasenny. Pomoże zregenerować siły. Nie ma powodu do obaw, choć może się pan czuć wyczerpany. Za kilka godzin...

Próbował zaprotestować, jednak głos uwiązł mu w gardle. Słowa lekarki rozplynęły się w sennej mgle.

Poczuł lekkie kołysanie. Zamknął oczy i poddał się błogiemu uczuciu. Co za dziwaczny sen... – pomyślał jeszcze, zanim całkowicie pochłonęła go miękka ciemność.

Eeny, meeny, miny, moe. Dziecięcy szczebiot dobiegał z ogrodu za domem. Uwielbiał niedziele – spokojny punkt w kołowrotku codziennych zajęć. Od sześciu lat, od urodzenia Elli, niedziele traktowali jak świętość. Tego dnia ograniczali pracę do paru rozmów i wiadomości. Trzeba dbać o reguły. Pacjenci, klienci, szefowie pożarliby każdą sekundę życia – jeśli im na to pozwolić. Ustalili z Amy, że nie pozwolą. Nie chcieli, by ich córka stała się jednym z tych samotnych, smutnych dzieci z bogatej dzielnicy, dla których rodziną jest niania. Szanowali więc niedziele, choć trochę trwało, zanim żona nauczyła się wyłączać telefon. Mimo skłonności do kompromisów, w tej sprawie nie odpuścił i przeformułował żelazne zasady. Zbyt wiele było wokół rozwodów, martwych związków, chłodu, nienawiści – nie miał najmniejszego zamiaru tego wszystkiego sprowadzać do swojego życia.

Dobrze wiedział, co się dzieje za oknem. Amy z Ellą zawsze wstawały wcześniej. Zaczynały dzień od śniadania, oglądały ulubioną bajkę małej, a potem wychodziły do ogrodu albo bawiły się w salonie, czekając, aż zbudzi go ich śmiech. Właśnie ten śmiech sprawiał, że wstawał szczęśliwy.

Jeszcze chwileczkę – zdecydował i leniwie przewrócił się na drugi bok.

Znów te wiadomości? Regularny sygnał nie pozwalał mu zasnąć. Przecież dziś niedziela. Poczuł irytację, a zaraz potem rozczarowanie. Oczywiście, jest poniedziałek. Po omacku zaczął szukać komórki, by przestawić budzik na funkcję drzemki. Zawsze tak robił i zawsze wstawał o te dziesięć minut za późno. Ręka trafiła w pustkę. Gdzie ten cholerny telefon? Nie miał siły podnieść powiek. Czas na urlop – pomyślał i aż się rozmarzył. Może wybraliby się na jakąś odludną plażę? Tam, gdzie pojechali w podróż poślubną? Jak się nazywał ten pensjonat? Nie mógł sobie przypomnieć. Za daleko... – uświadomił sobie. Był w środku rozgrzebanego filmu, megaprodukcji o dziewczynie ratującej foki, z tą denerwująco chichoczącą gwiazdką z dużymi piersiami i końskimi zębami. Paul nie wypuści go z fabryki na dłużej, więc dzika plaża odpada. Jednak potrzebował odpoczynku, oboje potrzebowali. Niech to będzie chociaż weekend, dobre i tyle. Wieczorem coś zaplanują – postanowił i z pełnym rezygnacji westchnieniem otworzył oczy.

Rozejrzał się zdezorientowany: jasne ściany, monitory, młodziutka lekarka... Powoli zaczęło do niego docierać. Spróbował poruszyć ręką, a potem nogą. Poczuł ulgę – nie był bezwładny. Ostrożnie odwrócił głowę. Tym razem w sali panował półmrok. Bładozie-

lone ekrany odbijały się w gładkich frontach szafek. Ktoś nad jego głową machnął dłonią i jeden z monitorów zmienił się w chmurę połyskujących kropelek. Po chwili znów ujrzał czyjąś rękę. Mgła na nowo utworzyła obraz, którego szczegółów nie potrafił dostrzec. Z sufitu zwisała platanina kolorowych rurek i srebrnych kabli. Już miał się podnieść, kiedy zauważył, że niektóre są z nim połączone.

– Jeszcze powinien spać. Jakies dwie, trzy godziny. Potem możemy zaczynać. – Dobiegł go znajomy terapeutyczny ton.

Powieki mu ciążyły. Znów odpływał w aksamitną ciemność. Wyteżył umysł, by powstrzymać sen i usłyszeć dalszy ciąg rozmowy.

– Doktor Shaw sugerował, żeby kilka dni poczekać – odpowiedział inny damski głos.

– Ci psychiatrzy... – prychnęła młodziutka lekarka.
– Dmuchają na zimne. Nie ma najmniejszych medycznych przeciwwskazań.

– Taka ich rola... – westchnęła druga z kobiet.

– Jasne. Procedury... zasady... wymagania... A my już mamy kolejny transport. Gdybyśmy każdego trzymali tygodniami, nie wystarczyłoby łóżek. Zresztą, to ja odpowiadam za pacjenta i ja decyduję. – Terapeutyczny ton niespodziewanie nabrał władczego brzmienia.

– Oczywiście, pani doktor. Zatem wybudzamy pacjenta i uruchamiamy Procedurę Zero. Jest tylko mały problem...

Reszta rozmowy rozplynęła się w oddali, aż wreszcie została całkiem zastąpiona odgłosami z przydo-

mowego ogrodu. Niedziela... – pomyślał z radością i zapadł w głęboki sen.

Ciężko dysząc, biegł między drzewami. Raz po raz potykał się o wystające z ziemi korzenie. Serce waliło mu jak młot. Ella kurczowo obejmowała jego szyję. Mocniej przycisnął do piersi drobne ciało córki. Nie zabiorą cię, nie pozwolę im na to – powtarzał w myślach niczym mantrę. Obejrzał się przez lewe ramię, ani na chwilę nie zwalniając kroku. Wielki facet w pomarańczowym uniformie zbliżał się niebezpiecznie szybko. Nie uciekną bydlakowi. Są bez szans! Z trudem pokonywał kolejne metry. Miał wrażenie, że każdy następny krok będzie ostatnim. Znów spojrzał za siebie. Teraz już dokładnie widział białka, połyskujące w ciemnej, spoconej twarzy. Skrył się za grubym pniem i próbował odzyskać oddech. Pogłaskał córkę po złotych włosach. Oczy miała mocno zaciśnięte, a policzki mokre od łez. To koniec. Zawiódł Ellę. Zawiódł swoje jedyne dziecko. Rozejrzał się bezradnie. Nie powinien był jej nigdy sprowadzać do kliniki. Ani Amy.

Nagle, pośród gęstego lasu, dostrzegł drewnianą szopę. Ostatkiem sił puścił się pędem w tamtym kierunku. Brakowało mu tchu, ręce mdlały, nogi odmawiały posłuszeństwa. Pot spływał po czole i zalewał oczy. Krew pulsowała w skroniach. Był tak blisko. Nie może się teraz zatrzymać. Zabiją go. Nie... nie zabiją... – przypomniał sobie. Zaprowadzą do białej sali

i naszpikują lekami. Zabiorą Ellę. Na zawsze. Tak jak zabrali jej matkę. Spróbował wezwać pomoc, ale nie mógł wydobyć z siebie głosu.

Gdzie jesteś... Amy?

Obudził go łomot serca. W nocnych majakach często tak bywało: chciał biec – nogi miał z ołowiu, chciał krzyczeć – nie potrafił.

Kilka chwil zajęło, zanim doszedł do siebie. Nie przeżyłby, gdyby naprawdę coś się stało jego Elli. Po prostu by tego nie przeżył. Ze zdumieniem zauważył, że jak na noc pełną koszmarów jest całkiem wypoczęty. Potarł oczy i uniósł powieki. Przez moment nie mógł zrozumieć tego, co widzi. Przy łóżku stali mężczyzna oraz kobieta. Przyglądali mu się z góry, kręcili głowami, jak gdyby zamierzali przekroczyć wyjątkowo ruchliwą ulicę. Słyszał ich podniesione głosy. Procedura Zero... Przejście... na twoją odpowiedzialność... jest bezpiecznie... mamy gwarancję... Celestis... zalecenia... nowy transport... – do skołowanego umysłu docierały pojedyncze słowa. Nie potrafił połączyć ich w całość. Miał wypadek? Jest chory? Ci ludzie... na pewno zaraz wszystko wyjaśnią.

– Witamy z powrotem. – Poznał ją, choć tym razem nie nosiła czepka. Długie, splecione w ciasny warkocz włosy ciemną linią odcinały się od białego uniformu.

– Pani doktor... – zaczął drżącym z emocji głosem.
– Ja... nie wiem, co się dzieje... Chyba niczego nie

pamiętam... – Miał wrażenie, że zaraz się rozplącze: z wyczerpania, z lęku, z bezradności.

– June, proszę mi mówić June. – Lekko przysiadła na brzegu łóżka. – Nie dzieje się nic złego. Wręcz przeciwnie.

– Amy i Ella? Gdzie one są? Są tutaj?

– Już mówiłam, nic im nie dolega. Nie ma powodu do zmartwień.

– Moja żona jest lekarzem. Sprowadźcie ją tu. Wie, gdzie mnie szukać? Przyjedzie?

June lekko skinęła głową. Nie był pewien, czy to potwierdzenie, ale uznał, że tak. Znał Amy, na pewno już była w drodze do szpitala. Tylko żeby nie przywoziła tu Elli – pomyślał z paniką, a w jego głowie pojawiły się obrazy z koszmarnego snu. Ogarnęło go złe przeczucie. Jezu... o czym ja w ogóle... – przywołał się do porządku. Zaczynał łapać paranoję.

– Co mi jest? – zapytał, zdecydowany uzyskać odpowiedź.

– Wszystko pod kontrolą. Musimy jeszcze tylko wykonać kilka testów. – Lekarka drobną dłonią wygładziła niewidoczne fałdki na kocu. – Nie, nic straszego – uspokoiła go. – Zwykłe testy psychologiczne. Na pewno kiedyś takie przechodziłeś. Takie albo podobne – dodała po chwili.

– Kiedy po studiach przyjmowali mnie do firmy. Chyba ze sto stron do wypełnienia. Były jakieś... czy ja wiem... dziecinne? Wie pani... wiesz, June... – poprawił się – można było je robić jak wyliczankę. Eeny, meeny, miny, moe. A i tak by się zgadzało. Ale ja ro-

biłem jak należy, nie kombinowałem – wytłumaczył się, choć sam nie wiedział po co.

– O właśnie – potwierdziła. – Psychiatrzy je lubią, a my tolerujemy. – Mrugnęła do niego.

– Coś nie w porządku z moją głową? Stąd testy? – Zaniepokoił się. – Dlatego mnie izolujecie od rodziny? Oddział zamknięty i te sprawy? Nie musisz niczego przede mną ukrywać. Chcę tylko wiedzieć, co mi jest. Więc... June?

Nie odpowiedziała. Podniosła się z łóżka i wskazała na swojego towarzysza:

– Doktor Shaw – przedstawiła wysokiego mężczyznę, również ubranego w białą uniform. – Psychiatra. Zada ci kilka pytań. A potem tu wrócę i rozpoczniemy przygotowania do Procedury Zero. Jesteś pod dobrą opieką. – Uśmiechnęła się ciepło.

– Procedury? – Nie zrozumiał.

Znów posłała mu terapeutyczny uśmiech, po czym otworzyła drzwi, za którymi ukazał się fragment kolejnej białej ściany.

Nie znał June, jak i pozostałych, ale jej miły głos działał kojąco.

– Co z moją żoną? Jedzie tu? – zapytał ponownie, tym razem wymuskanego lekarza.

Na planie coś takiego by nie przeszło – pomyślał, przyglądając się nienagannej fryzurze doktora. Opalona cera, śnieżnobiały uśmiech, błękitne oczy, podkreślone niemal platynowymi, lśniącymi falami włosów? Serio? Istny Ken od Barbie. Co było dobre w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku, to nie teraz. Facet

wyglądał jak żywcem wyciągnięty z archaicznej reklamy pasty do zębów.

– To nie takie proste... Żona nie może panu w tej chwili towarzyszyć – odparł Shaw, z namysłem pocierając idealnie kwadratowy podbródek.

Gdzie ona, do cholery, jest?! Adriana ogarnęła złość, pomieszana z rozżaleniem. Zaraz jednak sobie uświadomił, że to bez sensu. Znał Amy. Nie opuściłaby go w takiej sytuacji. Pewnie załatwia jakieś formalności. Za chwilę tu dotrze i nad wszystkim zapanuje – ta myśl go uspokoiła.

Dopiero teraz zwrócił uwagę na resztę personelu. Po pokoju kręcili się jeszcze dwaj mężczyźni i kobieta. W skupieniu przeglądali dane z monitorów, od czasu do czasu przerzucając wprawnym ruchem dłoni kolejne strony. Wszyscy nosili podobne białe uniformy, które bardziej przypominały pianki do surfingu niż lekarskie fartuchy. Wszyscy też byli bardzo młodzi. Zbyt młodzi. Jeśli June jest tu najstarsza stażem, muszą chyba zatrudniać absolwentów przedszkola. I to z castingu na modeli. Raz jeszcze przyjrzał się pięknym, zdrowym cerom oraz idealnym rysom pracowników kliniki. Co to ma być?! Ośrodek treningowy dla studentów? O nie! Jeśli jest poważnie chory, nigdy nie pozwoli, żeby zajmowały się nim te żółtodzioby. Wiadomo, gdzieś muszą się uczyć... ale niech leczą go pod nadzorem kogoś bardziej doświadczonego. W końcu, u licha, tu chodzi o jego zdrowie!

– Chcę natychmiast wiedzieć, co się stało! Co przede mną ukrywacie?! Gdzie jest moja rodzina?! – Miał do-

syć zabawy w kotka i myszkę. Nie podobał mu się ten szczeniak, udający wielkiego fachowca.

Shaw chrząknął, po czym spojrzał wymownie na pozostałych, którzy na jego znak posłusznie opuścili salę.

– Pana żona z córką nie uczestniczyły w wypadku – odpowiedział.

A więc jednak... wypadek. Przez sekundę zobaczył nadjeżdżającą z przeciwka ciężarówkę.

– Chcę zadzwonić. Proszę mi podać telefon!

– Niestety, nie w tej chwili. Przede wszystkim trzeba zadbać o pana zdrowie. Zaczniemy od kilku prostych pytań. Jak się pan nazywa, ile ma lat, gdzie pracuje?

Zacisnął mocniej szczęki. Nie miał wielkiego wyboru, był zbyt słaby – mimo złości musiał przystać na warunki młodego doktora. Już mój prawnik z tobą potańcuje! Niech no tylko stąd wyjdę! – pogroził Shawowi w myślach.

– Więc? – ponaglił go psychiatra.

– Przecież wiecie – odparł rozdrażniony.

– Tak, ale muszę sprawdzić, czy również pan to wie – cierpliwie wyjaśnił lekarz.

– Nazywam się Adrian Lawson, mam czterdzieści lat, mieszkam w L.A., skończyłem UCLA, pracuję w wytwórni filmowej... w Torico Productions. Mam żonę Amy i sześciolletnią córkę Ellę. Coś jeszcze? – wypalił jednym tchem, wciąż oburzony zachowaniem personelu. Jakim prawem traktują go jak więźnia?!

– UCLA to dobra uczelnia, prawda?

– Będziemy teraz omawiać poziom uczelni? Serio?

– Nie mógł uwierzyć własnym uszom.

– Panie Lawson, to ja zadaję pytania. Pan na nie odpowiada.

– Żarty sobie, studenciaku, ze mnie robisz?! Przyslijcie tu jakiegoś prawdziwego lekarza! Nie będę rozmawiał z niedouczoneym gówniarzem! – Adrian aż poczerwieniał na twarzy.

Psychiatra odsunął się od łóżka i wyrecytował bezbarwnym głosem:

– Odmowa współpracy. Pacjent pobudzony. Agresja na poziomie sześć i osiem stopnia w skali Goldinga. Zalecenia: dodatkowa dawka leków nasennych. Do doktor Thorndike: pacjent do dalszej konsultacji.

– Zaraz! Chwileczkę! Nie zgadzam się na żadne leki! I natychmiast przynieś mi tu komórkę! Chcę zadzwonić do żony. Ona jest lekarzem! – Gdyby nie osłabienie, najchętniej dałby temu nadętemu gnojkwowi w zęby. Nie miał jednak siły nawet ruszyć ręką. Spojrzał na rurki transportujące jakąś niebieskawą substancję wprost do jego żył. – Co to jest? Co mi podajecie? Chcę natychmiast stąd wyjść! Na własne żądanie!

– Lawson... – Oczy psychiatry zrobiły się zimne i nieruchome. – Nie przewidujemy tutaj takiej procedury. Nie służy dobru pacjenta. A zdrowie pacjenta jest dla nas priorytetem.

– To jakiś absurd... – Znow poczuł się kompletnie bezradny i skołowany.

Doktor zmarszczył brwi – wpatrywał się ze skupieniem w monitor, ignorując ostatnią uwagę.

– Macie w domu zwierzęta? – zapytał niespodziewanie.

– Zwierzęta?

- Tak. Zwierzęta. Wie pan: kot, pies, papuga...
- Nie... – odpowiedział, nie rozumiejąc, do czego Shaw zmierza.
- Na pewno?
- Nie mogliśmy trzymać zwierząt. Ella jest alergiką. Chociaż... zaraz... mieliśmy kiedyś legwana, ale uciekł. – Przypomniawszy sobie.
- Jak wyglądał?
- Co? – Znowu nie zrozumiał.
- Legwan. Był duży?
- Nie, niezbyt... normalny. Zielony, cztery łapy, ogon. No... jak legwan.

Shaw ponownie potarł podbródek i bez słowa opuścił pokój. Adrian patrzył na zamknięte drzwi, a potem na unoszące się w powietrzu mgiełki ekranów. Może jest w wariatkowie?

Nagle poczuł ostry ból pod czaszką. W pomarańczowym blasku ujrzał spękaną samochodową szybę, a na niej krew. Dużo krwi.

– Fantastyczna scena... znakomita... – mrucał pod nosem. Lśniący w zachodzącym słońcu gigantyczna cysterna zbliżała się do zakrętu. Kazał asystentowi jeszcze raz sprawdzić gotowość wszystkich dwunastu kamer. Peter, któremu dał ten film ze względu na starą przyjaźń, nie panował nad planem. Na szczęście *first aid*, Harley, którego niedawno wyszukał „w przepastnym brzuchu Lewiatana”, jak mawiało się u nich

o studiu, zapowiadał się na prawdziwą gwiazdę. Chłopak wiedział, co robić! Trzeba będzie pomyśleć, jak go dobrze wykorzystać.

Na podglądzie z helikoptera widział czerwone maserati alfieri drugiej generacji. Z oszałamiającą prędkością wchodziło w ostatni zakręt. Spod kół wydobyły się kłęby dymu i kurzu. Pięknie... pięknie... o to właśnie chodziło! Mimo trudności z Peterem był zadowolony z efektu. Harley ogarnął temat na dwieście procent! Co za dzieciak!

Z szumu walky-talky wyławiał kolejne potwierdzenia. Ella będzie wniebowzięta! Uśmiechnął się do siebie. Uwielbiała katastrofy filmowe. Amy urwałaby mu głowę, gdyby wiedziała, jakie rzeczy ogląda razem z kilkuletnią córką. Ale od czego były małe tajemnice? Przełączył podgląd na kamerę za kołem cysterny. Żółta, przerywana linia na szorstkim asfalcie zmieniła się właśnie w podwójną ciągłą. Wybrał obraz z wnętrza ciężarówki. Łagodny łuk zakrętu coraz bardziej odsłaniał zachodzące słońce. Kadr zamazały pomarańczowe bliki. Przełączył się na maserati. Czerwonawe światło wypełniło lusterko. Tak! Tu będzie cięcie. Potem kamera na aktora. Przełączył. Blask wydobył z cienia twarz kierowcy. To niemożliwe! To jakaś pomyłka! – chciał krzyknąć, kiedy oślepił go ostry błysk. Wcisnął hamulec w podłogę. Masywny, srebrny kształt z rykiem wbił się w przednią szybę.

– Panie Lawson?

Wodził wokół nieprzytomnym wzrokiem. W uszach wciąż dźwięczał mu chrzęst gniecionej blachy, a na twarzy czuł uderzenie poduszki powietrznej i kłujące drobinki szkła.

– Przykro mi, że to trwa tak długo. Zwykle idzie szybciej, ale... jak to ująć... jest pan dość szczególnym przypadkiem. Proszę być dobrej myśli. – Monotonny głos Shawa był niewyraźny, jakby dobiegał zza szyby.

Szpital. Wypadek. Powoli składał fakty. Nagle serce ścisnął mu lęk. Coś tu jest nie tak... Coś nie tak...

Znów pochłonęła go ciemność.

– Ma koszmary. – Młody lekarz z zaciekawieniem patrzył, jak pacjent rzuca się na łóżku.

– Włącz podgląd – poleciła ostrym tonem. Była zła, że Shaw obserwuje Adriana jak rzadki egzemplarz Maszyny do Sprzątania. – I podaj mu coś na uspokojenie. Nie widzisz, że się męczy?

– June... moja droga... dawno włączyłem. Nie ma zaskoczenia. Zawsze śni im się koniec. Tak już jest. Spodziewałaś się czegoś innego? – Mrugnął do niej rozbawiony.

– Trzeba go jak najszybciej wykasować. – Zignorowała oczywistą zaczepkę.

– A ja bym jeszcze dzień, dwa zostawił – zaproponował psychiatra. – Większość transportu przechodzi gładko, w ciągu jednej doby. Nie kusi cię, żeby go trochę poobserwować?

– Nie mówisz chyba serio?
– Z punktu widzenia medycyny mogłoby to być bardzo przydatne.

– Ale nieludzkie! Naszą misją jest ograniczyć ból związany z Przybyciem do koniecznego minimum. Pierwsza medyczna zasada Thomasa Wolfa.

Shaw nie odpowiedział. Stanął tuż przy szybie i ponownie zaczął się przyglądać Adrianowi, który teraz leżał bez ruchu, jednak oddech miał płytki, nerwowy.

– Niech zmienią mu pościel. Jest mokra od potu – zauważył. – W sumie bez znaczenia... Ale kiepsko wygląda.

– Czy ty naprawdę nie masz serca? – W czarnych oczach lekarki błysnęła wściekłość.

– Dla nich? – Shaw wskazał skuloną, drżącą postać.
– June... przecież to tylko materiał. Czy litujesz się nad niesprawnym procesorem? Póki ich nie wyczyścimy, są skażeni. Są niczym. N i c z y m.

Spojrzała na niego bez słowa. Czy przekonałaby go argumentem, że ten materiał, jak go nazywał, to także żywa istota, która czuje ból i lęk? Oczywiście, że nie. Shaw jako psychiatra uczestniczył w selekcji, musiał być twardy i prawomyślny. Za nic nie odstąpiłby od reguł, nie złamał instrukcji, nie podważył wiedzy zdobytej w Akademii Medycznej im. Thomasa Wolfa. Była na siebie zła. Po co w ogóle kolejny raz wdawa się w dyskusję z tym twarogłowym produktem Korporacji?

Ze złością sięgnęła po fiolkę leku na uspokojenie, odmierzyła odpowiednią dawkę i wezwała Obsługę Pacjenta.

Obudził go szum morza. Otworzył oczy. Wciąż był w klinice. Pod sufitem obracała się niezbyt duża, czerwona, połyskująca kula. To ona wydawała mylący odgłos. Zniknęła otaczająca go aparatura. Pozostały jedynie, zawieszone w przestrzeni, bladozielone monitory. Ostrożnie podniósł się z posłania – nie dokuczał mu najmniejszy ból. Prawdę mówiąc, czuł się wyśmienicie, wypoczęty jak nie zdarzyło mu się od lat. Przy łóżku stał niewielki stolik, a na nim taca z różnej wielkości niebieskimi pojemnikami. Wziął do ręki jeden z nich, miał ochotę go otworzyć, ale się zawahał. Odłożył pudełko na miejsce.

– Śmiało, to dla ciebie. Smacznego. – Usłyszał płynący zewsząd, a jednocześnie znikąd głos June.

Poczuł się jak owad zamknięty w słoiku. Nie miał komórki, Amy wciąż nie było, a oni najwyraźniej go obserwowali. Nie był pewien, czy ta stuknięta banda smarkaczy nie zechce go otruć, jednak głód okazał się silniejszy. Ostrożnie otworzył pierwsze pudełko. W pomieszczeniu rozszedł się aromat pieczeni. Łapczywie zaczął pochłaniać cieniutkie plastry znakomitej, delikatnej wołowiny. Kolejne naczynie kryło fantastyczną zupę, której składu nie rozpoznał, ale smakowała tak dobrze, że mógłby ją jeść bez końca. Znalazł jeszcze słodkiego arbuza o nieprawdopodobnie intensywnym aromacie i doskonały kawior. W życiu nie jadł nic lepszego! Nieźle tu karmią – przeszło mu przez myśl. Na koniec chwycił do ręki wysoki, lekko spłaszczony pojemnik i wyciągnął z niego pięknie zdobioną butelkę koniaku. Henri IV Dudognon Heritage – przeczytał napis.

Dobrze wiedział, ile kosztuje flaszka tego trunku. Raz w życiu miał okazję go spróbować, malutki kieliszek, łyk dosłownie, na który wydał majątek. Jednak okazja była naprawdę wyjątkowa! Tego dnia zabrał Amy do Santa Barbara na kolację w eleganckiej restauracji. Tam się oświadczył. Potem przez pół roku musiał zaciskać pasa, ale było warto! Przypomniawszy sobie zaskoczony wzrok Amy i jej cudowny uśmiech i... tę noc – z księżycem w pełni, szumem fal i zapachem róż, unoszącym się w ciepłym powietrzu. Zadbawszy o każdy szczegół. Choć jego żona twierdziła inaczej, był przekonany, że właśnie wtedy, na skąpanej w magicznym srebrnym blasku plaży, poczęli Ellę. Nawet jeśli tak nie było, lubił w ten sposób myśleć. Zażębniał za swoimi dziewczynami.

Jeszcze raz spojrzawszy na ozdobną butelkę. Henri IV Dudognon Heritage wyglądał w tym miejscu kompletnie nierealnie. To musiała być naprawdę ekskluzywna klinika. Może umieścili go w jakimś pokoju dla VIP-ów? Pozwolił sobie na odrobinę próżności, zanim skarcił się w duchu. Zbyt dobrze znał naczelną zasadę działania show-biznesu: jesteś wartością, dopóki przynosisz dolary. Dziś klinika dla VIP-ów, jutro miejscówka pod mostem. Sam utrzymał się na powierzchni przez tyle lat z dwóch powodów: był naprawdę dobry oraz nigdy nie wyrolował szefa. Zwłaszcza uczciwość i lojalność były tak rzadkie w jego środowisku, że czasem ceniono je bardziej niż pieniądze.

Przeanalizował ostatnie wydarzenia. Już nie był taki pewny, co mu się śniło, a co było prawdą. Może faktycznie ma jakieś kłopoty z pamięcią?

Otworzył kolejne niebieskie pudełko. To, co ujrzał, podobnie jak wykwinny koniak, wydawało się absolutnie niemożliwe. Jakby nagle znalazł się w jednej z di-snejowskich bajek. Nie zdziwiłby się, gdyby ze ściany wyskoczył dżin w turbanie. Deser za dwadzieścia pięć tysięcy dolarów w szpitalu? Absurd! A jednak na tacy spoczywał pojemnik, a w nim pucharek z dziełem sztuki kulinarnej, ozdobionym delikatnymi płatkami dwudziestoczerokaratowego złota. Obok, w specjalnej przegródce, leżała złota, wysadzana diamentami łyżeczka z charakterystycznym diabełkiem – dzieło Euphoria New York, jednego z najbardziej eleganckich domów jubilerskich. Zamrugął, nie miał halucynacji – słynny Frrozen Haute Chocolate z nowojorskiej Serendipity 3 nadal tam był. Ostrożnie spróbował trufłowej śmietany. Poczł rozkosz na podniebieniu, jakiej chyba dotychczas jeszcze nigdy nie doświadczył. Co to za miejsce? Jak tego dokonali? Dręczyły go pytania, choć nie miał nic przeciwko, żeby jego terapia, skoro już była konieczna, przebiegała w podobnych warunkach. Musiał się znajdować w jednym z tych owianych tajemnicą miejsc, w których leczą się najbogatsi! Nie było innego wytłumaczenia.

– Niesamowite... – Pokręcił głową i włożył do ust malutką łyżeczkę.

Drzwi się rozsunęły, do pomieszczenia weszła June. Bez słowa zaczęła przeglądać dane na jednym z ekranów.

Jej widok przywrócił go do rzeczywistości. Czas wreszcie coś ustalić. Zdecydowanym ruchem odsunął tacę z frykasami. Klinika dla VIP-ów czy nie – nie mają prawa go tak, bez słowa wyjaśnienia, przetrzymywać.

– June... czy możesz mi powiedzieć, co się stało?
– zaczął dość ostrożnie, w obawie, żeby nie wyszła.
– Nie będę się złościł. Tylko mi wyjaśnij – uspokoił ją, widząc wahanie odmalowane na gładkiej, nieco dziecinnej twarzy.

– No dobrze – podjęła decyzję. – Chociaż za chwilę to i tak nie będzie miało żadnego znaczenia.

– Mam nadzieję, jednak wolałbym wiedzieć.

– Wracałeś z pracy i wpadłeś pod ciężarówkę. Ot, cała historia. – Wzruszyła ramionami.

– Jechałem sam?

– Sam.

– W jakim byłem stanie po wypadku?

– Kiepskim.

– Ale mnie połataliście?

– Można tak powiedzieć.

– Czy to znaczy, że mogę się spodziewać jakichś komplikacji w przyszłości?

– Żadnych.

– Przecież coś może jeszcze wyjść za miesiąc, a nawet za rok. Moja żona jest lekarką, trochę wiem na ten temat. Powikłania zdarzają się nawet po długim czasie. – Był zaniepokojony jej lekkim podejściem.

– Adrianie, jesteś całkowicie zdrowy – powtórzyła dobitnie.

– I możesz mi zagwarantować, że taki pozostanę do końca życia? Że nigdy nie odczuję żadnych dolegliwości z powodu odniesionych urazów?

– Ludzie lubią nadużywać słowa koniec... – Westchnęła i zaczęła zbierać się do wyjścia. – Tak, gwarantuję, że nigdy nic nie będzie ci dolegało.

- Skąd możesz wiedzieć?
- Jestem lekarzem. – Uśmiechnęła się i otworzyła drzwi.
- June! – zatrzymał ją.
- Stała w progu i skierowała na niego, pozbawiony najmniejszych oznak zniecierpliwienia, wzrok.
- Gdzie jest moja komórka? Znalezione ją?
- Niestety... zdaje się, że nie...
- Mógłbym dostać inną? Muszę zadzwonić.
- Przykro mi, to niemożliwe – odparła spokojnie, lecz stanowczo.
- June?
- Tak?
- Ja nie proszę. Mam prawo skontaktować się z bliskimi. Nie możecie mi tego zabraniać. – Nadał swojemu głosowi nieco twardsze brzmienie. Z niepokojem usłyszał w nim także nutkę hysterii.
- Naturalnie. Przede wszystkim jednak mamy obowiązek robić wszystko, co będzie najlepsze dla twojego zdrowia. – Lekko przymknęła wciąż otwarte drzwi i spojrzała na niego badawczo. A może tylko tak mu się wydawało?
- To śmieszne. Czy możesz mi wyjaśnić, w jaki sposób skorzystanie z telefonu pogorszy mój stan? Nawet jeśli, przecież mówiłaś, że jestem zdrow jak ryba.
- Ktoś tu robił z niego idiotę. Jasne, należała się im wdzięczność za ocalenie życia, za doskonałą opiekę, za wspaniałą robotę chirurga, ale nie był przecież, do cholery, niewolnikiem. Nie mogli, ot tak, łamać jego podstawowych praw!
- Może pogorszyć. I to bardzo.

Zauważył, że znów włączyła terapeutyczny ton.

– To absurd... – Nie dawał za wygraną. – O co chodzi? Komórka zakłóci pracę jakichś urządzeń? Fale zaszkodzą mojemu organizmowi? Po prostu powiedz, w czym rzecz, i będzie po sprawie. – Postanowił zażegnać wiszący w powietrzu konflikt. June, jak na razie, była jedyną osobą, od której mógł się czegokolwiek dowiedzieć. Nie chciał tego zmarnować.

– Jedno i drugie – odpowiedziała w końcu. – Wybacz, trochę się spieszę. Po prostu mi zaufaj, w porządku?

– Przydałaby się garść informacji, żebyś mógł to sobie jakoś poukładać.

– Samo się poukłada. W swoim czasie.

– Jak długo tu jeszcze zostanę?

– Adrianie, rozumiem, że to dla ciebie trudne, ale musisz spokojnie czekać. Za dzień, dwa będzie po wszystkim.

– Możesz mi chociaż powiedzieć, od jak dawna tu jestem?

– To trzecia doba – odparła i zamknęła za sobą drzwi.

Trzecia doba?! Jakim cudem poskładali go po tak okropnym wypadku w ciągu trzech dni? Musiała się chyba pomylić. W panice odrzucił okrywający nogi miękki pled. Opadł bezwładnie na poduszki, a serce waliło mu jak szalone. Zamknął oczy – modlił się, żeby cokolwiek wreszcie zrozumieć. Opanował atak paniki i ponownie przyjrzał się swojemu ciału. Niewątpliwie należało do niego, ale miał wrażenie, jakby patrzył na własne nogi, ręce, brzuch... o dwadzieścia lat młodsze. Ostatni raz wyglądał tak chyba na stu-

diach. Miotają nim skrajne emocje. Nie był przecież niezadowolony. Nikt by nie był! Jednak nie wierzył w cuda – a tak to właśnie wyglądało. Jego umysł znów zaczął się buntować. Chirurgia plastyczna? Szybko wykluczył tę możliwość. Po pierwsze: nikt nie wykonałby podobnych zabiegów bez jego zgody – to groziło kryminałem, a w najlepszym wypadku horrendalnym odszkodowaniem. Po drugie, znacznie ważniejsze: rany goją się długo. Nierealne, żeby na jego ciele nie pozostały żadne blizny.

Zaczął gorączkowo oglądać skórę centymetr po centymetrze. Ani śladu uszkodzeń. Nie było nawet brzydkiej szramy na prawej łydce – pamiątki z dzieciństwa. Wiedział, że akurat taki ślad można z łatwością usunąć za pomocą lasera. Ale czym przywrócili mu młody wygląd? I gdzie, u diabła, są rany po wypadku? Z trudem powstrzymał kolejną falę lęku. Przecież od razu widać, że nie znajduje się w zwyczajnym szpitalu. To raczej coś w rodzaju eksperymentalnego ośrodka naukowego albo bardzo ekskluzywnej kliniki. Muszą być daleko przed resztą świata. Nowy wygląd zapewne zawdzięczał jakiemuś superskutecznemu serum lub czemuś w tym rodzaju. Czytał kiedyś o badaniach nad podobnym specyfikiem. A może zrobili mu transfuzję? Niektóre gwiazdy poddawały się takim zabiegom. Nagle zrozumiał – jak mógł wcześniej o tym nie pomyśleć?! To miało, zdaje się, jakiś związek z cząstkami elementarnymi, bozonami czy jak im tam było. Pożałował, że w szkole przysypiał na fizyce. Choć w tej dziedzinie był zupełnym ignorantem, boska cząstka utkwiała mu w pamięci z powodu poetyc-

kiej nazwy, jaką jej potocznie nadano. A o przełomie, o pierwszym udanym kompletnym przeszczepie ciała, po prostu nie dało się nie słyszeć. Nowe możliwości rozpały wyobraźnię ludzi do czerwoności. Potem bardzo szybko, tuż po pionierskiej operacji, zaczęło się zamieszanie. Świat ogarnął histeryczny strach przed zabawą w Boga. Nie był pewny, czy to z powodu protestów, czy przyczyna była inna, ale dalsze badania wstrzymano.

Słyszał jednak plotki o tajnych ośrodkach dla najbogatszych. Czy dokonywano tam także kompletnych przeszczepów? Jak niemal wszystko na świecie, i to pewnie było wyłącznie kwestią ceny. Żyjąc w środowisku, które umierało ze strachu na widok pierwszej zmarszczki, wśród ludzi, którzy sprzedaliby własną matkę za kolejny rok bez cellulitu, a siebie za mniej centymetrów w talii, nie miał wątpliwości, że za nowe ciało byliby w stanie nawet zabić, a już na pewno złamać prawo.

Z jakiego powodu otrzymał tak cenny dar? Właśnie on? Nie był życiowym nieudacznikiem, nieźle sobie radził, ale przecież nie należał do elit. Dotychczas nic w życiu nie spadło mu z nieba, na wszystko musiał ciężko zapracować. Nie wierzył w takie prezenty. Ciekawe, kiedy oraz ile przyjdzie mu zapłacić. Znów pojawił się niepokój pomieszany z oburzeniem, że zdecydowano za niego. Jednak radość z niespodziewanego odmłodzenia była silniejsza niż obawy.

Nie mógł się doczekać, kiedy o wszystkim opowie Amy. Jak jego żona zareaguje na młodszego o dwadzieścia lat męża? Nieważne, ile to kosztuje, uzbierają

wystarczająco dużo, żeby mogła się poczuć jak on teraz. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz miał tyle energii! Zaczął się rozglądać za jakimś lusterkiem, lecz nic takiego nie znalazł. Przez chwilę próbował wykręcić głowę i zobaczyć swoje odbicie w gładkiej powierzchni szafki. Obraz był niewyraźny. Wtem przyszła mu do głowy inna myśl, o wiele bardziej prawdopodobna niż cudowne odmładzanie i najdroższe desery świata. Pewnie go czymś naćpali, lada moment czar pryśnie, a on się obudzi: w starym ciele, z objawami ponarkotykowego zjazdu.

Znów zaczęła dopadać go senność.

Wiedział, gdzie jest. Wszystko pamiętał. W zalewie wrażeń niewiele było konkretnych i pewnych informacji. Jego umysł starał się jakkolwiek to wszystko uporządkować. Miał wypadek, ciężki. Zderzenie z ciężarówką. Jechał sam. Wylądował w nowatorskim ośrodku, gdzie poskładali go do kupy, a nawet spowodowali, że poczuł się jak młody bóg. To jeszcze brzmiało w miarę sensownie, choć i tak był oszołomiony możliwościami współczesnej medycyny. Gorzej, że odkąd się tu znalazł, nie miał kontaktu z rodziną. Gdyby cokolwiek złego przydarzyło się Amy czy Elli, chyba by mu o tym powiedziano? Przynajmniej taką miał nadzieję. Dlaczego go izolują? To rodzaj kwarentanny? Może ciężarówka wiozła jakieś niebezpieczne substancje? Odpady medyczne, toksyczne, radioaktywne?

Nie – uznał tę wersję za bezsensowną. Lekarze przecież wtedy nie wchodziliby do niego bez strojów ochronnych.

Przeanalizował całą sytuację od początku. A potem jeszcze raz i jeszcze raz. Jedyne, co mu przychodziło na myśl, to problemy neurologiczne. Pewnie podczas wypadku doznał urazu głowy. Popatrzył na plątaninę rurek i kabli – nie odważył się ich odpiąć. Zachować spokój, nie poddać się panice, to teraz najważniejsze. Procedura Zero... – przypomniał sobie. Nie miał bladego pojęcia, co oznacza. June powiedziała, że niedługo będzie po wszystkim i wypiszą go do domu. A jeśli wcale tego nie mówiła? Jeśli tylko tę rozmowę wymyślił? Niczego już nie był pewny. Procedura Zero może oznaczać wyłącznie jedno – uspokoił się – niebawem wróci do domu.

Kolejny raz uważnie się obejrzał. Ramiona, nogi, brzuch – wszystko było jak nowe. Miał czterdzieści lat i ciało dwudziestolatka! Znowu poczuł dezorientację, a jednocześnie euforię. Przyszło mu do głowy, że warto sprawdzić, czy da radę stanąć na własnych nogach, kiedy otworzyły się drzwi. Do pokoju zamaszystym krokiem wszedł Shaw w towarzystwie wysokiego, śniadeego mężczyzny.

– Witam! – zawołał wesoło od progu. – Widzę, że się obudziliśmy? Jak się spało?

– Dobrze.

– A samopoczucie? – Doktor tryskał energią.

– Zaskakująco świetne jak na moje obrażenia.

Liczył, że sprowokuje lekarza do wyjaśnień. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Shaw dał znak swojemu koledze, po czym obaj zbliżyli się do łóżka.

– I o to chodziło, właśnie o to... – Z zadowoleniem przyjrzał się Adrianowi. – Tusambe, mój asystent – przedstawił mężczyznę, który lekko skinął głową. – No, dosyć lenistwa! – Psychiatra klasnął w dłonie. – Trzeba się rozruszać!

– Mogę już wstać?

– Najwyższy czas! Jest pan zdrowy, teraz popracujemy nad siłą. Ale na początek musimy pana podnieść. Tus!

Chwycili Adriana pod ramiona i dźwignęli. W pierwszej chwili odniósł wrażenie, że pokój nie ma podłogi. Po kilku sekundach stopy znalazły oparcie, choć nogi wciąż były jak z waty, a kolana aż drżały z wysiłku. Pytając spojrzął na doktora.

– To normalne – uspokoił go Shaw. – Trochę pan leżał. Tus wpadnie tu dziś jeszcze parę razy. Jutro nie będzie śladu niemocy.

– Niesamowite... – podsumował Adrian, kiedy z powrotem znalazł się na łóżku.

– Co takiego? – z niekłamanym zainteresowaniem zapytał psychiatra.

– Jak to możliwe, że w ciągu trzech dni wróciłem do zdrowia? Nie tylko wróciłem, ale też odmłodziłem o dobre kilkanaście lat?

– Zauważył pan? – Doktor wyglądał na szczerze ucieszonego.

– Przecież nie da się nie zauważyć!

– Uwielbiamy ten moment, kiedy pacjenci dostrzegają swoje nowe ciało. – Aż zatarł ręce z zadowolenia.

– Prawda, Tus? – Asystent milcząco potwierdził.

– Ale jak...

– Żadna magia, czysta nauka, panie Lawson! – przerwał mu w pół zdania. – Na tym etapie nie jest istotne jak, najważniejsze, że jest pan zadowolony. Bo jest pan, prawda?

– Jestem... naturalnie, że jestem... tylko...

– Będzie czas na pytania. Najpierw jednak musi pan przejść do prawdziwego życia. To nasz cel. – Młody psychiatra ponownie nie pozwolił mu dokończyć.

– To wszystko... cała wasza klinika jest... dość niezwykła...

– A... dziękuję, panie Lawson, dziękuję. Robimy, co możemy. – Shaw wziął te słowa za komplement, choć w istocie były wyrazem niepokoju.

Nagle Adrian pojął – lekarze również korzystali z zabiegu odmładzania, stąd ich wygląd! Jeden element układanki wskoczył na swoje miejsce, ale nadal było więcej pytań niż odpowiedzi. Bardzo martwił się o Ellę i Amy. Nie rozumiał, czemu wciąż się z nim nie skontaktowały.

– Kiedy stąd wyjdę? – zapytał bez ogródek.

– Jutro. Nie ma powodu dłużej pana zatrzymywać.

– Tak szybko?

– Prawdę powiedziawszy, zwykle mamy lepsze tempo. Jak już wspominałem, stanowił pan dość trudny przypadek.

– Ach tak... – Nie miał pojęcia jak skomentować kolejną rewelację.

– Bardzo nie chciał się pan rozstać ze swoim życiem, panie Lawson. To się czasem zdarza. Niezwykle rzadko, ale jednak – dodał spokojnie Shaw.

– Nic dziwnego, mam dobre życie. Kto by się chciał takiego pozbywać? – zażartował. Wiadomość, że jutro opuści szpital, znacznie poprawiła mu humor.

– Ten, kto nie wie, że może być jeszcze lepsze?

– Ma pan na myśli nagrodę w niebie i te rzeczy? – Pokręcił głową, zaskoczony filozoficzną refleksją psychiatry.

– Może... – enigmatycznie odparł lekarz.

– Wolę jeszcze przyjemnie pożyć tu i teraz, na Ziemi. Jak to mówią, lepszy wróbel w garści niż gołąb na dachu. Nie jestem wierzący – wytłumaczył się. – Mam dość racjonalny umysł...

– To tak jak ja. Doskonale pana rozumiem. Absolutnie się zgadzam, że należy zadbać, by właśnie nasze realne życie było jak najlepsze. No, czas na nas. A pan niech odpoczywa – wydał zalecenie, ponownie skinął na asystenta i obaj mężczyźni skierowali się ku wyjściu.

– Dziękuję! – wykrzyknął Adrian, rozradowany dobrymi wiadomościami.

Opadł na poduszki uspokojony. Wizja bliskiego powrotu do domu spowodowała, że po raz pierwszy pozwolił sobie na chwilę prawdziwego odprężenia. Pomyślał o płycie „December” George’a Winstona. Słuchał jej zawsze, kiedy czuł się potwornie zmęczony. Tak jak teraz. Dźwięki fortepianu cudownie koili skołataną nerwy. Nagle zdał sobie sprawę, że nie odtwarza muzyki w myślach, lecz ją słyszy. Płynęła gdzieś z ukrytych w suficie głośników. Ciekawy zbieg okoliczności. Gdyby nie był realistą, mógłby podejrzewać, że czytają mu w myślach. Opanowało go znużenie, a spokojne nuty

wprawiły w błogi nastrój. Z klimatyzatora falami napływało leśne powietrze. Poczuł, jak miękkie, wygodne łóżko go kołysze, a powieki coraz mocniej ciążą.

Nie miał pojęcia, czy jest noc, czy dzień. Nie wiedział, która godzina. Mógł tu być od kilku dni, ale równie dobrze od tygodni czy miesięcy. Właściwie jaki miał powód, by wierzyć tym ludziom? Nie znał ich, nawet nie widział ich papierów. Może wcale nie są lekarzami? Może chcą przeprowadzić na nim jakiś eksperyment? Czemu nie założył innej wersji wydarzeń niż ta, którą mu przedstawiono? Teraz, kiedy spędzał kolejną samotną godzinę na rozmyślaniach, nachodziły go coraz poważniejsze wątpliwości. June, doktor Shaw, asystent... wszyscy młodzi i piękni. Zabieg był z pewnością bardzo drogi. Czy naprawdę każdego szeregowego pracownika szpitala stać na takie fanaberie?

Uległ panującej wokół atmosferze spokoju i profesjonalizmu. Życzliwa lekarka, pewny siebie doktor, cierpliwy rehabilitant kompletnie uspili jego czujność. Nie mógł wprost uwierzyć, że zgodził się na utrudnianie mu kontaktu ze światem, na dziwne zabiegi, na brak pełnej informacji. Czy parę gadżetów, eleganckie wnętrza i ciepłe gesty personelu kompletnie pozbawiły go rozsądku?! Za nowe ciało zapłacił rozumem? Nie ma mowy, żeby na odchodne nie uzyskał choćby podstawowych wyjaśnień.

Nie mógł zasnąć, ale wołał nie prosić o leki. Podczas rozmowy z personelem kliniki chciał mieć świeżą głowę. Wiele wskazywało, że czeka go niełatwa przeprawa.

Zmienił szum lasu na odgłosy ogrodu. Otoczył go świergot ptaków i cudowny zapach świeżo skoszonej trawy. Przypomnił mu dzieciństwo. Wolne dni często spędzał u babci. Najbardziej lubił leżeć w hamaku i obserwować chmury – próbował dopasować ich kształty do ludzi, zwierząt, przedmiotów. Potem, jako nastolatek, w tym samym hamaku marzył o wspaniałych przygodach, najpiękniejszych dziewczynach, ciekawym życiu. Poczuł cynamonowy aromat szarlotki. Wszystko się zgadzało. Popołudnia u babci pachniały świeżo ściętą trawą i właśnie... szarlotką. Z oddali dobiegło go szczekanie Candy, niesfornej, ukochanej goldenki dziadka, a zaraz potem odgłosy teleturnieju, stukanie naczyń oraz szum płynącej z kranu wody. Na końcu usłyszał śpiew Emily. Jako dzieciak kochał się do nieprzytomności w prześlicznej córce sąsiadów.

Jakim cudem słyszy te dźwięki i czuje zapachy z babinego ogrodu?! Nie było mowy o pomyłce – wyraźnie rozróżniał doskonale sobie znane odgłosy domowego życia dziadków. Dosyć tego! Kolana lekko się pod nim ugięły, jednak po chwili pewnie stanął na niespodziewanie ciepłej podłodze. Czuł się silny i zdrowy. Zdecydowanym krokiem ruszył ku drzwiom. Przez moment przeszukiwał wzrokiem gładką taflę mlecznego szkła. Nie znalazł klamki. Ani niczego, co mogłoby służyć do otwierania.

– Jasna cholera! – zaklął w głos.

Chwilę mocował się z szybą, ale ta nie ustąpiła nawet o milimetr. Jego oddech przyspieszył, a wyobrażenia podsuwała coraz bardziej przerażające możliwości. Zdecydowanie zmieniło się w bezsilność, by w końcu przekształcić się w strach. Co, jeśli znalazł się w rękach szalonych naukowców, którzy będą podglądać przez kamery, jak zmienia się w muchę? Zdał sobie sprawę, że to brzmi niczym scenariusz jednego z hollywoodzkich filmów. Najpewniej zwyczajnie nie założyli, że nie będzie umiał otworzyć drzwi – spróbował uspokoić rozszalałą wyobraźnię. Raz jeszcze obrzucił spojrzeniem matowe szkło. Głos rozsądku ani trochę go nie przekonał. Tu naprawdę coś nie grało. Jakim prawem w ogóle go zamykają? Znów poczuł lęk, a sekundę później złość. Co, u diabła?! To, że uratowali mu życie, nie upoważnia ich do łamania podstawowych obywatelskich praw. Może takie rzeczy przechodzą w Chinach, ale nie tutaj!

Zaczął się kręcić bezradnie po sali, poszukując interkomu lub chociaż przycisku alarmowego. W pomieszczeniu znajdowało się kilka przejrzystych ekranów – nie miał pojęcia, czy któryś z nich służy do komunikacji. Na chybił trafił zaczął dotykać monitorów. Zareagowały, zmieniając wyświetlaną treść w zielonkawą mgłę. Po chwili z mgły wyłoniły się nowe wykresy, krzywe... cała masa danych, których nie potrafił rozszyfrować. Nagle jeden z ekranów pokazał twarz. Jego twarz. Czterdziestoletnią, czyli z pewnością sprzed wypadku. Na trójwymiarowej fotografii ubrany był w smoking.

Dobrze pamiętał, kiedy zrobiono to zdjęcie – podczas ostatniej premiery. Choć w takim samym stroju, na podobnym tle uwieczniano go już parę razy, tylko wtedy nosił brodę; zaraz potem ją zgolił, bo nie podobala się Amy. Delikatnie wsunął dłoń w obrazek. Ekran rozprysnął się w milion kropelek, które stworzyły nowy wzór, coś w rodzaju karty szpitalnej. Formularz zawierał dane Adriana, jakieś liczby i kolejne barwne wykresy. Część informacji zrozumiał, czego dotyczyły pozostałe, mógł się jedynie domyślać. Wreszcie trafił wzrokiem na rubrykę: diagnoza. Zanim zdążył spojrzeć na wpis, usłyszał cichy trzask otwierających się drzwi. Kątem oka dostrzegł zaznaczoną na czerwono adnotację: podejrzenie FS.

W progu stanął doktor Shaw.

– Panie Lawson, czy nie uprzedzałem, że nie wolno panu samodzielnie wstawać? – powiedział, nie podnosząc głosu, za to wystarczająco dobitnie, by Adrian natychmiast odsunął się do monitora.

– Chciałem tylko poprosić o wodę... – wytłumaczył, w głębi duszy czując wściekłość z powodu własnej uległości. Obawiał się jednak, że agresja niczego tu nie przyspieszy.

– Wystarczyło zawołać. Mógł pan zrobić sobie krzywdę. Bardzo, ale to bardzo nieodpowiedzialne zachowanie. Zwłaszcza w przeddzień rozpoczęcia Procedury Zero. – Shaw mocno akcentował każde słowo.

Albo Adrian był już przewrażliwiony, albo w głosie psychiatry naprawdę pobrzmiwała groźba.

– Przepraszam. – Nie na żarty się przestraszył, że doktor może cofnąć jutrzejszy wypis.

– Widzę, że zerknął pan na swoją kartę... – Shaw podszedł do ekranu.

– Dopiero otworzyłem.

– Te dane i tak nie będą dla pana zrozumiałe.

Lekarz zaczął sprawdzać pliki. Adrian postanowił wykorzystać nadarżającą się okazję.

– Doktorze... – zaczął.

– Tak? – odpowiedział, wciąż odwrócony do niego plecami, Shaw.

– Czy byłby pan uprzejmy wyjaśnić mi...

– Panie Lawson, odłóżmy to. Mam teraz sporo do zrobienia. Będzie jeszcze mnóstwo czasu na rozmowy.

Najwyraźniej przyjął tę samą taktykę co June.

– Tylko jedno pytanie. Co to jest FS?

Shaw obejrzał się gwałtownie. Na jego twarzy odmalował się niepokój, chwilę później zastąpiony uprzejmą gotowością.

– To termin medyczny – wyjaśnił, nie rozwijając tematu.

– Domyślam się. Chciałbym wiedzieć, co znaczy. Co znaczy, że zachodzi u mnie podejrzenie FS?

– Nic groźnego. Zresztą, wykluczyliśmy FS, więc nie powinno to pana niepokoić.

– Ale co u mnie podejrzewaliście? Chyba mam prawo wiedzieć? – Z coraz większym trudem ukrywał ogarniającą go wściekłość.

Lekarz się zawahał.

– Najprościej mówiąc, to pewne kłopoty z pamięcią – wytłumaczył w końcu.

– Amnezja? Zaniki?

– Wręcz przeciwnie. Nadmiar.

– Nadmiar pamięci?

– Uprzedzałem, że to nie będzie dla pana jasne. Proszę wybaczyć, w tej chwili naprawdę nie mam czasu na wielogodzinne wykłady. Może innym razem. Najważniejsze, że FS pana nie dotyczy.

Ich psim obowiązkiem było rozwiązać jego wątpliwości! Adrian dobrze znał zasady. Amy wiele razy opowiadała, jak cierpliwie tłumaczy zawilości medyczne pacjentom. Miał prawo wiedzieć, co się z nim dzieje! Żaden lekarz nie powinien odmawiać mu podania informacji. Nawet ten ugrzeczniony smarkaty psychiatra.

– Doktorze Shaw, bardzo się cieszę, że uratowaliście mi życie, ale stanowczo domagam się wyjaśnień! – Zrezygnował z uprzejmego tonu. – Chcę natychmiast dostać swoją dokumentację!

– To niemożliwe. – Lekarz podniósł się ostrożnie z krzesła.

– Możliwe, całkiem możliwe! Zapewniam pana. Chyba że chcecie mieć kontakt z moimi prawnikami. Spotkanie z nimi nie będzie należało do przyjemności! – Całkiem puściły mu nerwy, teraz już krzyczał. Nie pozwoli się dłużej zwodzić. Otrzyma odpowiedzi tu i teraz albo natychmiast mają go stąd wypuścić!

– Przykro mi, panie Lawson, takie mamy procedury...

– W nosie mam wasze procedury! Jestem wolnym obywatelem niepodległego kraju. Zamierzacie mnie więzić?

– Nikt nie będzie cię przetrzymywał wbrew twojej woli. Nie ma takiej potrzeby. – Shaw obniżył głos.

– Chcę rozmawiać z June, znaczy z doktor Thorndike.
– Przyszedł mu do głowy ratunek. Tylko ona mogła przerwać tę farsę.

– Doktor Thorndike zakończyła swój udział w procesie przygotowawczym.

– Nie może tu na chwilę przyjść? – drążył.

– Przez Procedurę Zero przeprowadzę cię wyłącznie ja. Takie są zasady.

– Powiedźcie mi chociaż, co to jest ta cholerna Procedura Zero! I jaki znowu proces przygotowawczy? Do czego? Czemu robicie takie wielkie halo ze zwykłego wypisu ze szpitala?!

– Adrianie... – Psychiatra westchnął i dotknął lekko małego, czerwonego okienka. – Prawdę mówiąc, ta wiedza jest ci całkowicie zbędna. Za kilka godzin nic z tego, co przeżyłeś, nie będzie miało najmniejszego znaczenia.

– Słuchaj no, doktorku... – Już nawet się nie starał pohamować złości. – Albo natychmiast mi wszystko wytłumaczysz, albo stąd znikam! W tej sekundzie! Jasne?!

– Wszystko jest w porządku. Uwierz mi...

– W porządku! W porządku! W porządku! – rozwścieczony przedrzeźniał lekarza. – Metoda zdartej płyty? Wkręćcie mi coś? Wbij sobie do głowy, człowieku, że to nie zadziała. Nie macie prawa mnie tu zatrzymywać i pozbawiać podstawowych informacji!

– Otrzymałeś podstawowe informacje. Wszystkie, które były ci potrzebne.

Dopiero teraz zauważył, że Shaw zaczął mówić mu po imieniu. Nie z nim takie numery! Dobrze znał te prostackie, socjotechniczne chwytły! Spokojny, uprzejmy ton doktora działał mu na nerwy. Złość sięgała

zenitu. Czuł, że lada moment wybuchnie i walnie tego gnojka prosto w jego przystojną, odmłodzoną gębę. Resztkami sił się opanował, by wyartykułować kolejne żądanie:

– Natychmiast chcę rozmawiać z pańskim przełożonym!

– To niemożliwe – odpowiedział Shaw i wsunął rękę do kieszeni.

– Niemożliwe? To ja ci, koleś, pokażę, co jest niemożliwe! Będziecie mieli piękny proces. Szykujcie kasę na odszkodowanie. To nie do pomyślenia, żeby tak się obchodzić z pacjentami! – wykrzyczał i zdecydowanym krokiem ruszył ku wyjściu.

Drzwi były zamknięte.

– Otwieraj je! – ryknął w kierunku obserwującego go spokojnie doktora. – No, otwieraj! Ale już!

Jezu... to jakiś świr... Jestem tu zamknięty z wariatem – przemknęło mu przez głowę.

– Otwieraj, do cholery! – powtórzył jeszcze głośniejszym głosem i ku jego zdumieniu drzwi się rozsunęły.

Zaraz potem policzek Adriana znalazł się blisko elastycznego, białego materiału, z jakiego wykonano podłogę. Rosły pielęgniarz wykręcał mu ręce w dość bolesny, ale profesjonalny sposób. Na pewno nie robił tego pierwszy raz. Adrian odwrócił głowę – kątem oka dostrzegł pomarańczowy kombinezon, spocone czoło i błysk białek w czarnej jak smoła twarzy. Dokładnie jak w jego koszmarnym śnie.

Sekundę później poczuł lekkie ukłucie w okolicy prawego ucha. Nastąpiła ciemność.

– June... jak mogłaś zostawić aktywne ekrany w pomieszczeniu pacjenta? Znasz przecież procedury...

– Męski, wyniosły głos, dochodzący gdzieś z prawej strony łóżka, bez wątpienia należał do doktora Shawa.

– Wydawał się spokojny... – Adrian rozpoznał June.

– Wydawał się... – prychnął psychiatra. – Czy takiej oceny sytuacji uczono cię w akademii? Wiesz, do czego mogłaś doprowadzić?

– Co z tego, że coś tam wyczytał? I tak nic z tego nie zapamięta.

– A gdyby wpadł w szal, zanim przyszedłem? Gdyby zniszczył sprzęt? Jedno stanowisko mniej to przestój, którego Celestis na pewno by nie pochwaliło.

– Nie tak łatwo coś tu zniszczyć...

– Nie pasuje mi do ciebie taka lekkomyślność. Gdybym cię nie znał, mocno bym się zastanowił... – W słowach Shawa zabrzmiała nieprzyjemna, groźna nuta.

– Niby nad czym? – Jej głos pozostał obojętny.

– Nad twoją lojalnością?

– Nie posuwaj się za daleko – osadziła go ostro.

– Wciąż mam pewne obawy co do Lawsona...

– Niepotrzebnie. Z medycznego punktu widzenia nie ma przeszkód, żeby zaczynać.

– Jego zachowanie nie jest zwyczajne.

– Bo nie jest zwyczajnym przypadkiem. Spędził w klinice o wiele więcej czasu niż przeciętny pacjent. Dłużej od niego byli tu tylko Soto i Forcier. Jak widzisz, u nich wszystko dobrze się skończyło.

Psychiatra milczał dłuższą chwilę.

– Wystąpię o zgodę zarządu – powiedział po namyśle. – Lepiej dmuchać na zimne.

– Trochę przesadzasz. Dajmy mu szansę.

– Widzę, że za nic się nie poddasz. Walczysz o niego, jakby był naszym jedynym pacjentem.

– Doktorze Shaw... – odpowiedziała poważnie – walczę o każdego swojego pacjenta. Tak nakazują mi uczciwość i etyka zawodowa.

Otworzył oczy. Szklana kopuła rozszczepiała światło niczym pryzmat. Tańczące wokół tęczowe odblaski tworzyły baśniowe widowisko. Poczuł się jak we wnętrzu szklanej kuli, ulubionej zabawki z dzieciństwa. Nie był pewny, czy rozmowa, którą przed chwilą usłyszał, odbyła się w rzeczywistości, czy tylko mu się przyśniła. Dostrzegł zarysy ubranych na biało postaci, lekko zdeformowane przez zakrzywioną płaszczyznę szkła. Wyostrzył wzrok i przyjrzał się dokładniej. Żadna z tych osób nie wydawała mu się znajoma. Jego ciało oplatała pajęczyna srebrzystych nici. Znów, jak pierwszego dnia w szpitalu, nie mógł się poruszać. Ludzie po drugiej stronie intensywnie się krzątali, podłączając do szklanej kopuły kolorowe rurki oraz przewody. Co oni wyprawiają?! Nagle oślepiło go jaskrawe światło. Sala, pracownicy w białych uniformach, wszystko zaczęło wirować, jakby świat wokół porwało tornado. Karuzela przyśpieszała. Po-

czuł mdłości. Coś gwałtownie szarpnęło jego ciałem. Zaczął spadać. A może się unosił? Nie potrafił określić kierunku ruchu. Walczył z wciągającą go siłą, aż w końcu się poddał. Dziwny lot zaczął mu sprawiać niespodziewaną przyjemność. Ze zdumieniem zauważył, że dokładnie wie, jak się ułożyć, by swobodnie, bezpiecznie płynąć w ciepłym, ciemnym tunelu. Jakby robił to od zawsze. Nie ciekawił go już ani cel, ani sens tego doświadczenia. Nie musiał szukać drogi. Lęk ustąpił miejsca euforii.

Wreszcie znów ujrzał jasną poświatę. Tym razem miękką i przyjazną. Wpadł w rój skrzących się gwiazd, łagodne, pulsujące światło zapraszało go do środka. A może na zewnątrz? Mała byłaby zachwycona! Nie mógł sobie przypomnieć imienia córki, ale nawet to wydało mu się naturalne. Nic nie budziło niepokoju. Zbliżał się do blasku z nadzieją. Jak dziecko, które czeka na gwiazdkowy prezent. Niczego się nie bał. Niczym nie martwił. To cud – pomyślał. Prawdziwy.

Szablon

Copyright © Agnieszka Sudomir

Copyright © Wydawnictwo Genius Creations

Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak

Copyright © for the cover art by Can Stock Photo / Vadim Sadovski

Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2018 r.

druk ISBN 978-83-7995-205-2

epub ISBN 978-83-7995-206-9

mobi ISBN 978-83-7995-207-6

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski

Redakcja: Bożena Kurzydłowska

Korekta: Barbara Kaszubowska

Projekt okładki i adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski

Ilustracja na okładce: Vadim Sadovski

Skład wersji elektronicznej: proAutor.pl

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak

ul. Kormoranów 126/31

85-453 Bydgoszcz

sekretariat@geniuscreations.pl

www.geniuscreations.pl

Książka najtaniej dostępna w księgarniach

www.MadBooks.pl

www.eBook.MadBooks.pl